



Walery Bortiakow urodził się 17 lipca 1941 w Krasnojarsku na Syberii. Po wojnie wraz z rodzicami zamieszkał we Lwowie, gdzie ukończył szkołę średnią, technikum plastyczne i Instytut Poligraficzny, specjalizując się w grafice książkowej. Pracę zawodową rozpoczął w Ośrodku Telewizji Lwowskiej scenografią do „Przygody z Vaterlandem” - Leona Kruczkowskiego. Jako scenograf współpracował wówczas z teatrami Lwowa, Dniepropietrowska, Omska, Symferopola. Na początku lat 70-tych przeszedł do zespołu Polskiego Teatru Ludowego. Przy jego współpracy powstały inscenizacje „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego, „Fantazego” Juliusza Słowackiego, „Snu nocy letniej” Wiliama Szekspira, „Pociesznych wykwintniś” i „Lekarza mimo woli” Molliera. W 1985 roku objął kierownictwo Polskiego Teatru, inaugurując je „Zemstą” Aleksandra Fredry we własnej reżyserii i scenografii. Obok wszechstronnej działalności teatralnej, plastycznej, reżyserkiej i aktorskiej, jego wielką pasją były witraże. W 1988 z okazji 30-lecia działalności Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie Ministerstwo Kultury PRL przyznało mu odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej. W uznaniu zasług dla krzewienia kultury polskiej w 1993 roku prezydent RP Lech Wałęsa udekorował go Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP. Minister Kultury pośmiertnie przyznał Waleremu Bortiakowowi medal Gloria Artis

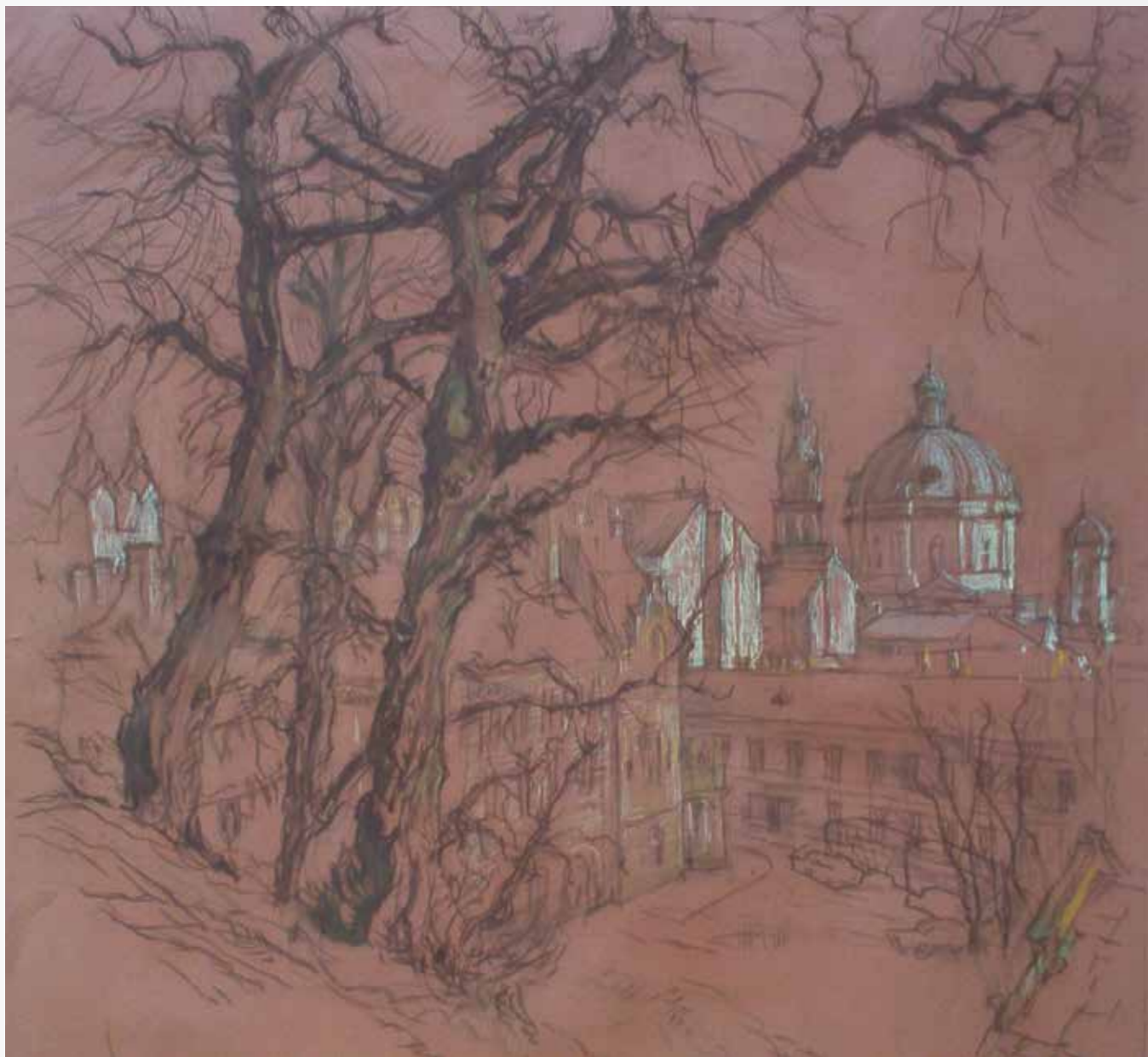
Jacek Szwic



Walery Bortiakow w roli Żyda, 2006
Wesele - Stanisław Wyspiański
fot. Aleksy Iutin

WALERY BORTIAKOW

PRÓBA PORTRETU



Walery Bortiakow. Tytuł, rok nieznan, rysunek papier tonowany 90 x 90 cm.

ZAMIAST WSTĘPU.

W 2007 roku odszedł nagle Walery Bortiakow.

Swoje twórcze życie rozpoczął i zakończył we Lwowie. Malował, projektował, wykonywał kostiumy i scenografię, reżyserował i tworzył witraże. Podejmował się prac konserwatorskich w wielu świątyniach. Przez wiele lat był jednym z filarów Polskiego Teatru we Lwowie. Jakim był? W swojej twórczości, w swoim; wrażliwym, wypełnionym pasją życiu. W swojej miłości do objawiającego się w różnych postaciach piękna. Wreszcie w swojej szczególnej miłości do polskiej kultury i literatury.

Dzięki tej książce chcemy ocalić pamięć o artyście, lwowianinie, „Rosjaninie okrutnie spolonizowanym” - jak sam się nazywał.

Wydawnictwo to mogło powstać dzięki realizowanemu od kilku lat projektowi kulturalnemu pod nazwą „Festiwal Dziedzictwa Kresów”, którego głównymi organizatorami są: Marszałek Województwa Podkarpackiego oraz Wójt Gminy Lubaczów.

Zawartość tej książki to głównie skutek życzliwej współpracy grona przyjaciół i znajomych Walerego. Im wszystkim, wymienionym z imienia i nazwiska w stopce redakcyjnej, składam serdeczne podziękowania za bezinteresowną pomoc w postaci udostępnienia wspomnień, zdjęć i skanów.

*Janusz Czarski - Dyrektor
Centrum Kulturalnego w Przemyślu*

ZAPRZEŻONY W TEATR

Zastanawiałem się nad artystyczną schedą po Walerym Bortiakowie, dochodzę do wniosku, że wszystko co uprawiać należy rozpatrywać w całości, bo tak się to wszystko w mojej pamięci po 14 latach Jego nieobecności scaliło w jeden tygiel – imię, któremu Teatr.

Trudno oddzielić Jego projekty scenograficzne od reżyserii, koncepcji muzycznej, bo to niby nic nowego w historii teatru, ale do tego dochodzą kreacje aktorskie – tu mam na myśli 2 istotne pozycje repertuarowe w naszym Teatrze, a mianowicie Fredrowską „Zemstę” oraz „Odprawę posłów greckich” Kochanowskiego, w których kreował początkowo rolę Papkina, a później Cześnika, oraz króla Priama.

Od lat związany z lwowskimi teatrami jako scenograf Walery zanim się pojawił na ul. Kopernika, jak głosi legenda, że niby przypadkiem zobaczył plakat na ogrodzeniu przed Domem Nauczyciela – wszedł i postanowił zaproponować swoje usługi, no i pozostał na zawsze.

Obyty podczas prób z działaniami artystycznymi w wielu lwowskich teatrach, ponieważ posiadał znakomity słuch i był baczny obserwatorem, więc nieoczekiwana propozycja nagłego zastępstwa w „Mężu i żonie” Fredry wcale go nie przerażyła. Co prawda jedyne słowo „zaprzeżony” nie było najwdzięczniejszym dla wymowy. Ale tak długo przed wyjściem na scenę dosłownie przemlewał w ustach to słowo, doprowadzając nas wówczas do śmiechu, a z czasem do zniecierpliwienia. Ale na scenie dostał brawa i tak się zaczęło jego aktorstwo.

A scenografia? No właśnie. Jak mu to przyszło do głowy, że ze starych ręczników można wyczarować arrasy do komedii Mollie-ra „Pocieszne wykwintnisie” i „Lekarz mimo woli”, a ze składanych metalowych tóżek zmontować wagon sypialny do sztuki Gelmana „My niżej podpisani”, natomiast akcją Szekspirowskiego „Snu nocy letniej” zapakować w wymalowany na surowym płótnie las Ardeński, rozpięty wzdłuż całej naszej sali teatralnej razem ze sceną. Co prawda przed spektaklem trzeba było chować nożyczki, bo ciągle coś wycinał i przycinał w swoim malowidle twierdząc, że to kryjówki dla elfów. Dekoracje naszego teatru powstawały zazwyczaj w nocy, kiedy to artysta uwalniał się od swoich oficjalnych obowiązków w innych teatrach często prosząc mnie o towarzyszenie mu i swoisty akompaniament w recytacji wierszy Gałczyńskiego i jakiegoś brzdąkania na fortepianie.

Legendą są owiane kamienie z Fredrowskiej „Zemsty”, które składały się jak klocki aby uformować mur graniczny lub finałową arkę zgody, a na wszystkich były fragmenty ornamentyki lwowskich kamienic. Kolejna legenda to akcja starych bawełnianych firanek specjalnie „podstarzanych” wywarem z herbaty. No i proszę bardzo mamy już szaty greckich dostojników i Trojan wśród feretronów, w których prześwituje archaizowane literactwo.

Rozsiane po różnych teatrach Ukrainy scenograficzne propozycje Walerego Bortiakowa może uda się kiedyś zebrać i skompletować, natomiast ulubione przez Niego makiety projektów – kruche i delikatne najszybciej uległy zniszczeniu.

Najbardziej niby łatwą do zdobycia jest jego scheda malarska, ale jakże skromna, bo mało o nią dbał tłumacząc się brakiem czasu, całkowicie „zaprzeżony” w teatr. Być może to największa strata.

Jak dziś pamiętam wydarzenie sprzed lat, wymęczeni całonocnym przekraczaniem granicy nareszcie dojeżdżaliśmy do Krakowa. Na moście Dębnickim utworzył się niebotyczny korek. Tkwiliśmy na tym moście nie wiem już jak długo. Wstawał świt, który zabarwił Wawel i Wisłę w delikatny różowy kolor, a z wody zerwało się stado łabędzi i lekko uniosło się nad nurtem rzeki. Walery ocknął się i krzyknął! „kawałek papieru”. Zmusił kierowcę, żeby otworzył drzwi, wyskoczył z autokaru i zaczął gorączkowo szkicować. Korowód samochodów powoli ruszył a On stał na moście i szkicował... Dopędził nas dosłownie przed skrzyżowaniem i dumnie pokazał szkic, z którego nigdy nie powstał obraz. Szkic zaginął. Być może byłby to jeden z najpiękniejszych obrazów, ale „zaprzeżony” Artysta nie znalazł na to czasu.

Zbigniew Chrzanowski - Reżyser

Walery Bortiakow w roli
Priama Jan Kochanowski
Odprawa posłów greckich
premiera Lwów 1999
fot. Aleksy Lutin





Makieta do nieznannej sztuki teatralnej, 1998 - karton, papier (68 x 50 cm)



Szkic scenografii do sztuki teatralnej Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota *Ballada o tamtych dniach*, 1973
- karton, papier (70 x 50 cm) projekt niezrealizowany

**WSPOMNIENIE O WALERYM BORTIAKOWIE:
SCENOGRAFIE, AKTORZE, REŻYSERZE,
DYREKTORZE POLSKIEGO TEATRU LUDOWEGO WE LWOWIE,
ARTYŚCIE MALARZU, WITRAŻYŚCIE, PROJEKTAŃCIE ŚWIATYŃ.**

Walery Bortiakow był twórcą, jakby z listu Jana Pawła II do artystów świata. Bo właśnie całe życie z pasją i poświęceniem poszukiwał nowych „epifanii” piękna, po to, by podarować je innym. Obdarzonym był wielością talentów, które swą uporczywą pracą przez wiele lat ciągle rozwijał. Jego szczególnym powołaniem było poszukiwanie i odnajdowanie tego piękna, które – jak pisał Cyprian Kamil Norwid – „kształtem jest Miłości”. Trudno jest dziś naszkicować słowem ten fenomen, jakim był Walery i z wielu godzin rozmów, z wielu lat spotkań spisywać – z wdzięcznością, a także z żalem i bólem po jego śmierci – po latach wspomnienia.

Zespół Polskiego Teatru Ludowego ze Lwowa, w tym także Walerego poznałem w Rudkach w czasie uroczystości ponownego pochówku prochów Aleksandra Fredry 29 września 1990 roku. Po Mszy świętej, poświęceniu nowego grobowca przez biskupa przemyskiego Stefana Moskwę, przeszliśmy wszyscy do domu kultury w Rudkach. Tam właśnie wówczas został zaprezentowany „Dawny spór” Mariana Hemara, ta słynna polemika między Aleksandrem Fredrą, a Sewerynem Goszczyńskim o to „czy godzi się śmiać, pisać komedie, gdy kraj jest w niewoli”.

Potem od czasu do czasu Walery zjawiał się w Przemyślu, niekiedy widzieliśmy się we Lwowie, między innymi w czasie gorących dni organizacji Festiwalu Kultury Polskiej. To on na moją prośbę stworzył logo tego festiwalu i projektował de-

koracje na koncert inauguracyjny. Pamiętam jak naciągał linami na frontonie Teatru Baletu i Opery wielki transparent reklamujący ten festiwal, ogromny biało-czerwony, zebrał się w dole szybko tłum i chciał go zlinczować. Podziwiałem go na kolejnych spektaklach Polskiego Teatru Ludowego, jako aktora, wybitnego scenografa, a od 1994 roku spotykaliśmy się dłużej – przez dwa, trzy tygodnie w okresie wakacyjnym - na Warsztatach Kulturowo-Artystycznych i plenerach malarskich. Odbływały się one zrazu w Bolestraszczach, w Arboretum, w później w Krzemieńcu i Drohobyczu. Brali w nich udział młodzi artyści polscy lub z mieszanych rodzin, ze Lwowa i innych miast, którzy studiowali na wyższych uczelniach artystycznych lub je już ukończyli. Plenerom towarzyszyły też sesje zabytkoznawcze – wycieczki połączone ze zwiedzaniem najciekawszych obiektów architektury i nie tylko. Walery był „ojcem pleneru” jak go nazywaliśmy – szkolił młodych pod względem artystycznym, plastycznym. Urszula, moja żona, wszystko organizowała i prowadziła wykłady z zakresu historii polskiej i europejskiej sztuki, a ja z dziejów literatury i kultury polskiej na Kresach. To nagle przyjeżdżał do Przemyśla i Bolestraszcz, potem znikał, by znowu pojawić się w moim życiu. Przez wiele lat byliśmy zaprzyjaźnieni, był obecny w mojej świadomości, a jego odejście z tego świata w 2007 roku – nagłe i dramatyczne i dla mnie ciągle zagadkowe - nie zmieni zapewne jednego: że pozostanie nadal żywy i wciąż obecny w mej wdzięcznej pamięci. Bo nie da się dziejów swego życia przepołować, na to, co było oraz to co jest i będzie. Życie człowieka jest monadą, spójną całością. Walery pozostanie w mej



Walery Bortiakow. *Widok balkonu kamienicy na ul. Łyczakowskiej 55, Lwów (kamienica Zbigniewa Herberta),*
rysunek węgla na papierze 70 x 50 cm. 2000



Walery Bortiakow. *Portret poety*. tusz na papierze 70 x 50 cm. 2002

świadomości jako jasna strona tego świata, jako człowiek kochający sztukę i kulturę, szczególnie polską, bez reszty jej oddany. Pozostanie w pamięci jako lwowianin, który wrósł swym życiem w to miasto, żył w nim, uwielbiał je, jako ten, który przez dziesiątki lat, dzień po dniu, bezinteresownie, z pełnym poświęceniem, także w tych najtrudniejszych czasach, współtworzył Polski Teatr Ludowy we Lwowie: reżyserował, grał jako aktor i stworzył wiele bardzo interesujących kreacji. Budował przez wiele lat ulotne, a wspaniałe scenografie. W najtrudniejszym okresie – po wprowadzeniu w Polsce stany wojennego, zawieszeniu we Lwowie działalności Teatru – po jakimś czasie, gdy już „zelżało” a Zbigniew Chrzanowski nie mógł wrócić i pozostawał w Polsce – podjął się okresowo pełnienia funkcji dyrektora – by potem przekazać ją lojalnie swemu poprzednikowi. Podjął się więc dzieła bardzo trudnego i musiał stać ostrożnie po cienkiej linii...

Był z pochodzenia Rosjaninem, ale jak podkreślał z tych najlepszych, jak tyłu zesłańców z innych narodów, którzy w państwie cara trafiali na Syberię. Urodził się w 1941 roku w Krasnojarsku, po wojnie zamieszkał z rodzicami we Lwowie, gdzie ukończył szkołę średnią, Technikum Plastyczne i Instytut Pedagogiczny. Współpracował jako scenograf z teatrami we Lwowie, w Dniepropawłowsku, Omsku, Symferopolu, a w latach siedemdziesiątych przyszedł do Zespołu Polskiego Teatru Ludowego działającego w Obwodowym Domu Nauczyciela.

Tam zafascynował się panującą atmosferą, kulturą polską i pozostał w tym zespole do końca życia. W dziedzinie scenografii stał się wielkim mistrzem, dekoracje przewoził z miasta do miasta, przez granice państw, składał i na nowo rozkładał, komponując je

znakomicie za każdym razem na nowo, na coraz to innej scenie. Finezyjność jego scenografii – tworzonej często z niewielkiej ilości tanich materiałów – można dopiero ogarnąć, gdy porówna się je z ogromnymi i kosztownymi dekoracjami w zawodowych teatrach, które jednak nie mają tak wielkiej ekspresji, często nie są oryginalne i nie poruszają, tak jak prace Walerego, które tchnęły zawsze jakąś dobrą magią.

Nigdy nie zapomnę jego scenografii do dramatu Karola Wojtyły „Przed sklepem Jubilera”.

Była genialnie prosta, a w zasadzie tworzącą całą mistyczną przestrzeń i tło do scen składających się z głębokich dialogów o treści religijnej i filozoficznej. Wojtyła – jak widomo – tworzył dramaty o charakterze bardziej rapsodycznym, nadające się bardziej do słuchania i kontemplacji, rozważania słów w duchu. Scenografia Walerego składała się z kilku płaszczyzn szyb zawieszonych na sznurach w górze. Aktorzy, którzy je przechodząc poruszali zmieniając ich położenie tworzyli jakby nową przestrzeń, zamkniętą, a zarazem otwartą, błyszczącą blaskami odbitymi ze światła reflektorów, a symbolizującymi Światło obecne wśród rozgrywających się scen. Właśnie z tą sztuką zaprosiłem jako dyrektor Wydziału Kultury w ówczesnym Urzędzie Wojewódzkim Przemysłu - Polski Teatr Ludowy ze Lwowa do Lubaczowa, by dzieło Karola Wojtyły zaprezentował w przeddzień wizyty w tym mieście Ojca Świętego Jana Pawła II. Historyczna pielgrzymka miała miejsce w dniach 2-3 czerwca 1991 roku. Papież nie oglądał spektaklu, ale na wydrukowanym wtedy teatralnym plakacie pozostawił swój – jakże wiele

mówiący - podpis. Tamta pielgrzymka Ojca Świętego do Lubaczowa miała charakter przelotowy – jak wiemy – dla dziejów prastarej, łacińskiej Archidiecezji Lwowskiej. Dziesięć lat później, też w czerwcu, Jan Paweł II zawitał do Lwowa.

Mimo upływających lat i rosnącego w środowisku lwowskim – i nie tylko – uznania, Walery nie miał w sobie nic z artysty stąpającego na koturnach, nic ze sztucznej pozy. Jego skromność nie była udawana, wymuszona, lubił łącać patos chwil jakie niesie czasem życie, rozjaśniać humorem. Na plenerach, które organizowaliśmy z nim przez osiem sezonów w okresie wakacyjnym, chodził zazwyczaj w krótkich spodenkach, w poplamionej farbami malarskimi koszulce, w sandałach. Jadł mało, przeważnie jarzyny, ulubioną kapustę, czym zadziwiał często kucharzy. Posługiwał się językiem, który był jakby współczesnym białym – uśmiechem całego Lwowa. Był zlepkiem, barwnym kalejdoskopem słów polskich, ukraińskich, rosyjskich, żydowskich łączonych w dziwnej składni, a jego finezyjne poczucie humoru sprawiało, że potrafił kilkoma zaledwie zdaniem rozproszyć troski i zmienić wokół siebie aurę na pogodną. Tworzył swoistą poezję mówioną, niepowtarzalną i jedyną, ulotną, a tym bardziej cenną. Ulotną poezję sytuacyjną – godną pióra Fredry. Ten humor sytuacyjny był wynikiem jego gestów, mimiki, działań. Plenery nasze, co warto podkreślić, wieńczyła zawsze wystawa, na której można było obejrzeć prace uczestników – młodych artystów polskiego pochodzenia z terenu obecnej Ukrainy. W tamtych latach – jak wspominałem – odbywały się one w wielu niezwykłych miejscach: w Arboretum w Bolestarszyczach, na Zamku Kazimierzowskim w Przemyślu, w Pałacu Dzieduszyckich w Zarzeczcu, w sław-

nym gmachu dawnego Liceum w Krzemieńcu, a także w kościele rzymskokatolickim w Mieście Słowackiego. Dobrze świadczyły one o uczestnikach, ich talentach i wytrzymałości, ale także o umiejętnościach organizacji ekspozycji przez Walerego. To on przede wszystkim wystawy te komponował, a to, co działo się przed wernisażem, było osobliwym „teatrem jednego aktora”, niepowtarzalnym spektaklem w wykonaniu „ojca pleneru”, który miotał się, polemizował, przerzucał prace wielokrotnie z miejsca na miejsce, wieszając je i zdejmował, na nowo wieszając, zbliżał się do nich i odchodził, by w końcu osiągnąć znakomity efekt. Później, podczas wernisaży, w których uczestniczyli wszyscy artyści, potrafił zawsze coś mądrego, a z humorem, powiedzieć. Prace jego, które też powstawały w czasie tych kolejnych spotkań, uświetniały również wystawy, a przez lata, choć zmieniał się ich temat, nosiły zawsze ten sam rys, to samo niepowtarzalne piętno wielkiego artysty.

Bowiem jego oblicze znakomitego plastyka ukazywało się w pełni, gdy chwycił za ołówek, kredkę, węgiel, rzadziej za pędzel, bo raczej jego temperamentowi odpowiadał rysunek, szkic, niż obraz – tworzył bowiem szybko, pod wpływem chwili i raczej nie miał cierpliwości na powolne nakładanie farb i czekanie aż wyschną. Z tych powodów często nie kończył swych malarskich dzieł. Miał niezwykle dar utrwalania w realistycznych, a przecież pełnych subtelnej poezji pracach, piękna architektury miast, w tym szczególnie Lwowa, Przemyśla i Krzemieńca. Jego finezyjna, delikatna kreska, często przywoływała zaledwie kontury budowli, rzeźb, zarysy pejzażu. Architektura w ujęciu Walerego nie jest martwa, żyje – musi tańczyć – jak mówił. Jest pełna ekspresji i tajemnicy, którą należy odkrywać i kontemplować. Urok zabytków wymaga – zdaje się sugerować Artysta – opowieści żywej i od serca, a nie „mędrca



Bliźniaki. Krzemieniec 1999 pastel olejny na papierze (70 x 100 cm)



Kościół Ojców Franciszkanów. Przemyśl 2000-2001 pastel olejny na papierze (50 x 70 cm)

szkiełka i oka". Z kolei w malowanych przez Niego portretach potrafił w sposób niezwykle sugestywny przekazać wyzierającą spod rysów duszę człowieka, zaś w aktach – niekiedy bardzo oszczędnymi środkami – ukazać piękno, harmonię i niezwykłość ludzkiego ciała. W tamtych latach stworzył wiele charakterystycznych portretów postaci ze Lwowa, Przemyśla, innych miast. Prace jego cechował też subtelny i wrażliwy rysunek. A to, co szybko, niekiedy prawie błyskawicznie powstawało na plenerach – zdumiewało i zachwycało patrzących - piękną linią, trafnością ujęcia, harmonią barw. Budziło uznanie u młodych adeptów, którzy na kolejnych plenerach byli przez niego nie tyle szkoleni, co prowadzeni delikatnie i umiejętnie. Walery nigdy nie potrafił żadnego z „plenerowiczów” skarcić, czy powiedzieć, że praca jest nie najlepsza... Raczej sugerował jak coś zmienić, mówił: „Może byłoby lepiej, aby troszku...” Natomiast, kiedy praca przypadła mu do gustu, wyrażał to spontanicznie i dowcipnie, niekiedy się zachwycał, tak że młody artysta czuł się wyjątkowo uhonorowany i szczęśliwy.

Właśnie wtedy, podczas tych spotkań wieczornych, przeglądów tego co namalowano w ciągu całego dnia, trwających nieraz kilka godzin, kiedy analizowano kompozycję prac, układ kolorystyczny, wyłaniała się uczestnikom jego cała, ogromna wiedza na temat malarstwa i umiejętności pedagogiczne. Był opiekunem artystycznym młodzieży, właśnie owym ojcem pleneru”. Funkcję tą zawsze pełnił z radością, bardzo sumiennie, odpowiedzialnie i wyłącznie społecznie. Jedyną jego nagrodą była wdzięczność plenerowiczów i nas – organizatorów. A swoistym uhonorowaniem były coroczne uroczystości urodzinowe organizowane przeważnie przy wieczornym ognisku lub w historycznej sali sławnego krzemienieckiego Liceum. Siedział wówczas na „tronie”, fantazyjnie i śmiesznie ubrany i upozowany, wyraż-

nie szczęśliwy. Wszyscy składali mu życzenia – często z okolicznościowymi wierszami i wręczali różne, wymyślne, a pełne zaskakujących pomysłów, prezenty. Funduszy było zawsze mało, więc przyjęcie bardzo skromne, a głównym daniem, które przybrany w biały kitel i wielką czapę wnosił powoli i bardzo uroczysto kucharz na srebrnym półmisku i stawiał przed solenizantem – była dorodna, ogromna i dymiąca głowa kapusty. Solenizant kłaniał się, dziękował i wygłaszał przemówienia w kilku językach, w tym po turecku i arabsku. Oczywiście tych dwóch ostatnich nie znał, naśladował tylko dźwięki, a najpiękniejsza była mowa po arabsku pełna gardłowych głosek, pomrukiwań, pokłonów i nagłego przewracania oczu. Potem zwykle śpiewał przy dźwiękach swej gitary swym mocnym, czystym i donośnym głosem piękne pieśni cygańskie, ukraińskie, rosyjskie, polskie, kończąc zazwyczaj „plenerowym przebojem”: Jezioro, jezioro...

Ostatni raz spotkaliśmy się na plenerze w Krzemieńcu, w sierpniu i na początku września 2007 roku. Zauważyłem, że Walery jako się postarzał, choć duchem i humorem był taki sam. Skarzył się na kłopoty z krążeniem i miał problemy z chodzeniem. Ponieważ trudno mu było wędrować do miejsca, gdzie mieszkaliśmy, dość odległego od centrum miasta, gdzie tworzyli artyści, przeniósł się do starej plebani obok kościoła parafialnego, w której spał w skromnych warunkach i gdzie wieczorem odbywały się przeglądy malarskie.

Według jego projektu zostało zbudowanych kilka kościołów, w tym kościół w Strzelczyskach koło Mościńsk. Ponadto do tego kościoła zaprojektował i wykonał witraże.

W tej starej plebani krzemienieckiej, w której miała wtedy swą siedzibę niedzielna szkoła nauczania języka polskiego, artysta zauroczone widokiem z okna, narysował między innymi uroczą pracę przedstawiającą Górę Królowej Bony wraz z ruinami zamku. Mówił z humorem, że zawsze rano, kiedy się budzi, pozdrawia legendarną górę słowami „Witaj, Piękna Królowo”. Znajac moją fascynację Krzemieńcem podarował mi to dzieło. Było ono prezentowane na wernisażu w kościele rzymskokatolickim w Krzemieńcu w dniu 4 września, zaraz przy wejściu, przy pomniku Słowackiego, w dzień urodzin wieszczka. Wyróżniało się wśród innych, przecież też ogromnie interesujących prac. Trzeba także wspomnieć, że na otwarcie wystawy przybyli tłumnie mieszkańcy Krzemieńca, artyści polscy oraz ukraińscy z Tarnopola i Krzemieńca. Obecni byli przedstawiciele władz polskich i ukraińskich, ukraińskie i polskie radio i telewizja. Walery był tym wyjątkowym miejscem prezentacji szczególnie poruszony i szczęśliwy, a także tym, że na wernisaż przybyli tak licznie goście. Wieczorem odbyła się kolacja pożegnalna z udziałem miejscowych i tarnopolskich malarzy, Polaków mieszkających w Krzemieńcu. Wracaliśmy wynajętym autobusem późną nocą do Lwowa, i po wypakowaniu prac przy ulicy Rylejewa, przy której ma swą siedzibę Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych „Własna Strzecha”, pożegnaliśmy się serdecznie. Jeszcze raz prosiłem go wtedy, by zebrał swoje prace plastyczne i scenograficzne na wystawę retrospektywną, którą planowaliśmy w Przemyślu na jesień. Było to nasze ostatnie spotkanie...

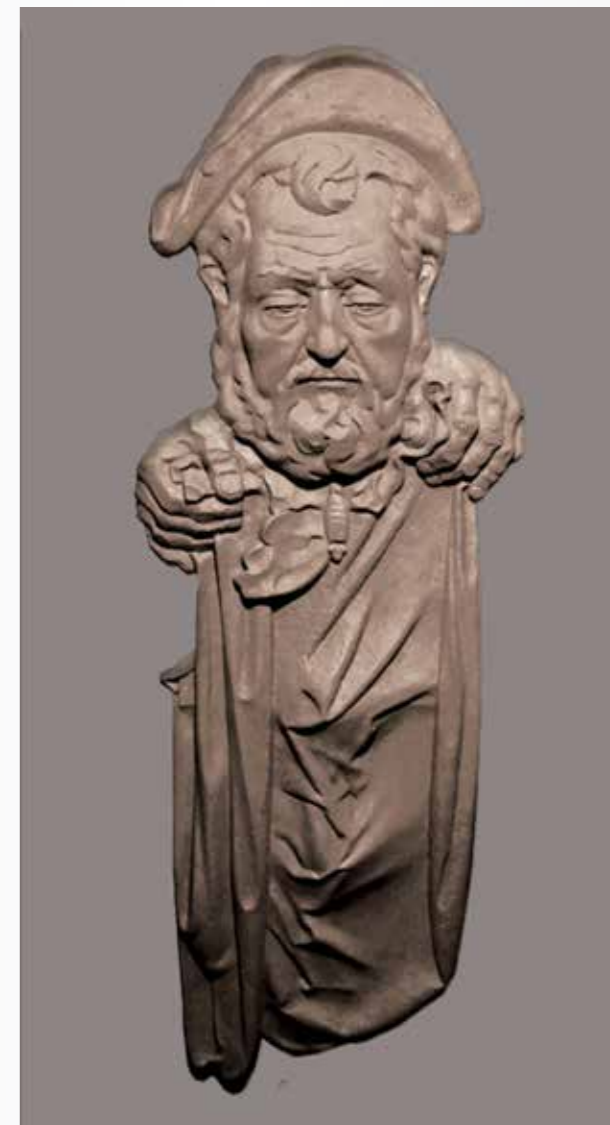
Ciągle bowiem miałem wrażenie, że ten niezwykły i wybitny artysta, nie tylko nie dba o swe sprawy życiowe, żyje więcej niż skromnie, niczego nie domaga się dla siebie, mało troszczy się

o swe zdrowie, ale też, że nie zależy mu na promocji swej twórczości albo nie potrafi tego czynić. Nie zabiega o popularność i uznanie, jakby już to samo, co robi, było dla niego najistotniejsze.... Jakby to bycie artystą, spalenie się w twórczości było dla niego największą nagrodą. Bo choć potrafił tworzyć rzeczywiście niezwykle scenografie, a także pełne fantazji kostiumy teatralne, dzieła te, choć fascynujące, trwają dziś głównie w pamięci widzów i na nielicznych zdjęciach. Jego prace artystyczne w postaci witraży zdobią wiele kościołów, ale rzadko kto wie, kto jest ich autorem. Rysunki i obrazy, rozproszone przeważnie w Polsce i na Ukrainie, znajdują się na ogół w zbiorach prywatnych. Większość z nich, w swej dobroci i hojności, po prostu porozdawał nie tylko przyjaciołom i znajomym, ale niekiedy też przypadkowym osobom. W maju 2003 roku udało mi się wprawdzie zgromadzić jego prace na ogromnie interesującej wystawie zorganizowanej przez Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Galerii ARP w Krasicy, ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że została na niej zaprezentowana tylko część wielkiej spuścizny. Znalazły się na niej prace malarskie i rysunkowe – piękne, subtelne, prawdziwe dzieła. Walery mocno przeżywał wernisaż, był wzruszony, a wystawę obejrzały później rzesze osób, które szczególnie wiosną odwiedzają tłumnie zamek. Z całą pewnością był dopiero początek, pierwsza próba ukazywania społeczeństwu dorobku tego artysty. Trzy lata temu część jego prac scenograficznych pokazano na wystawie w Towarzystwie Sztuk Pięknych „Własna Strzecha”, które jest też właścicielem części prac Walerego. Może w przyszłości ktoś się zdoła zdobyć na – w miarę możliwości – pełną dokumentację dorobku tej obdarzonej jak renesansowi geniusze wielością talentów, postaci.

Tym, którzy znali Walerego za życia, przypadła w udziale pew-

no ta najważniejsza część – obcowanie z wybitnym, wrażliwym twórcą, obdarzonym bogatą i głęboką naturą – prawdziwie dobrym Człowiekiem. Widzowie teatralni przede wszystkim we Lwowie, ale też wszędzie tam, gdzie teatr w ubiegłych latach występował, a więc w wielu miastach na terenie Ukrainy, Litwy, Polski, Wielkiej Brytanii, Szwecji pewno zastanawiali się nad fenomenem jego scenografii i zapamiętali dobrze jego liczne kreacje aktorskie. Warto przypomnieć, że w ciągu kilkudziesięciu lat Polski Teatr Ludowy występował kilkaset razy, a w ciągu tego czasu przygotował ponad 80 premier. Był jedną z tych niezwykłych postaci, które współtworząc polski teatr we Lwowie zapisały się pięknie w sercach i przeszły do historii kultury przede wszystkim w tym mieście, ale nie tylko. Po nagłej śmierci w 2007 roku, Walery został odznaczony na wniosek Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Z pochodzenia Rosjan, z wyboru artysta świata, a Polak w duszy. Jego prace, którymi mnie i Urszulę obdarował, przypominają mi naszą przyjaźń ilekroć zaglądam do naszego mieszkania w Przemyślu. Pamiętam jak cieszył się on z kolei z moich wierszy, w których starałem się utrwalić jego osobowość artystyczną. Niektóre z nich znalazły się w katalogach do spektakli Teatru Polskiego we Lwowie, także w pracy Janusza Wasylkowskiego o tym teatrze, w moich książkach poetyckich. Ale obaj wiedzieliśmy, że sztuka, choćby dobra i tak cenna, nigdy nie przerośnie rzeczywistości – bo nigdy w pełni nie ukaże człowieka i świata.

Mariusz Olbromski



Aleksander Owerzcuk. Walery Bortiakow w roli Papkina. Aleksander Fredro *Zemsta*. Lwów. 2008 (60 x 100 cm)



Przed Bernardynem. Lwów 2000 - 2001, rysunek tusz brązowy na papierze (29,7 x 42 cm)

NIC

Waleremu Bortiakowowi

Z kilku przymglonych nieco płaszczyzn
szyb całe krążące rewiry: w nich twarze,
głosy: splot życia, który rozplywa się
nagle jak powstał.

Uspokajane wolno płaszczyzny.
Z tektury, kleju, odrobiny farby
święteczna noc nad wieżami
Florencji Północy: muzyka czysta
cichej kolędy -

Odnajdywanie latami orbity kreski
jakbyś delikatnie wiódł wnętrzem dłoni
po obliczu kochanej dziewczyny,
która odeszła -

Nic. Klej, tektura, trochę płótna,
czy pastel.
Gest jak skrzydło ptaka.

Nic. Dla tego „nic”
w tym pięknym starym mieście,
w mieszkaniu zimnym, prawie bez mebli
warto latami tęsknić i umierać.

Dla tego „nic” żyć ciągle warto.

XI 96

Mariusz Olbromski

wiersz z tomu „W poszukiwaniu zagubionych miejsc”, Przemysł 2002



Kościół Lwowa 2000 - 2001, rysunek tusz brązowy na papierze (50 x 95cm)

W POSZUKIWANIU ŻYWEGO CZŁOWIEKA

Poproszono mnie o nieduży tekst o Walerym Bortiakowie, i to już kilka miesięcy temu. Zawsze tak jest ze mną: Kiedy odchodzi bliski mi człowiek, człowiek, którego lubiłem, podziwiałem, a któremu za życia poświęciłem zbyt mało czasu, taki człowiek nie dopytany – rzecz można, to pojawiają się u mnie olbrzymie trudności z napisaniem o nim czegoś sensownego. Tym bardziej po wielu latach.

Ktoś kiedyś powiedział: Dobry tytuł, to już połowa sukcesu... Wypisałem sobie nawet słowa kluczowe, które jak przydawki w dobrze sklejonym zdaniu pasują do Walerego: aktor, reżyser, scenograf, malarz, śpiewak – to tylko początek długiej listy. I – jak to często bywa – z pomocą przychodzą stare dobre lektury, postanowiłem więc powołać się na nie byle jaki autorytet, a mianowicie na samego Gilberta Chestertona...

„Żywy człowiek” pasuje do Walerego, jak na miarę szyty garnitur.

Wędrowiec, którego los rzucił właśnie do Lwowa, w sam środek przestrzeni fenomenu pogranicza polsko-ukraińskiego, któremu oddał się całkowicie.

Walerego poznałem na samym początku mojej pracy we Lwowie, w 2000 roku. Świetnie mówił po polsku i po ukraińsku – co mnie w zasadzie nie zaskoczyło, bo na pograniczu jest wiele osób dwujęzycznych. Po prostu Polak we Lwowie w polskim teatrze. Dopiero



Walery Bortiakow podczas pracy 2003 fot. Krzysztof Sawicki



Portret Krzysztofa Sawickiego, 2003 - pastel olejny, papier (75 x 56 cm)

później dowiedziałem się, że jest Rosjaninem, bez korzeni ukraińskich czy polskich, który wraz z rodzicami przebył do zachodniej Ukrainy gdzieś z Syberii. Tę wersję znam z różnych źródeł, od innych ludzi. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy: Walery sam nie podejmował tego wątku – ja nie pytałem. Do dzisiaj zresztą w zasadzie nic nie wiem o jego bliskich, rodzicach, kuzynach...

Walery Bordiakow, duch niemal Polskiego Teatru we Lwowie, człowiek niezwykle skromny i... za życia – jestem przekonany – niedoceniony; jego życie i twórczość na pewno oczekuje na gruntowne opracowanie.

Profesjonalizm aktora, reżysera i scenografa, a jednocześnie niezwykłą wrażliwość Walerego miałem zaszczyt zobaczyć w praktyce, chociażby w dwóch spektaklach w 2000 roku – „Odprawa posłów greckich” Kochanowskiego i „Kartoteka” Różewicza.

Kiedy przyszło mi w trudnych okolicznościach i w dosyć krótkim czasie opuścić Lwów, Walery okazał mi dużo serca, zachował się jak prawdziwy przyjaciel. Nigdy nie zamawiałem u spotkanych malarzy portretu, to Walery wyszedł z taką propozycją. Wtedy często odwiedzałem jego pracownię i widziałem kolejne etapy powstawania obrazu. Któregoś dnia zapytał mnie, którego malarza lubię. Strzeliłem – Malczewski. Po dwóch dniach wokół mojej głowy (jeszcze in statu nascendi) pojawiły się tajemnicze postaci. Było to niezwykle.

Walery bardzo intensywnie pracował nad portretem, a ja donosiłem do piwnicy zimne piwo. Jeszcze wcześniej przypadkowo spotkaliśmy się w zimowych Bieszczadach i tam usłyszałem, z jakim

oddaniem Walery śpiewa ukraińskie dumki; robił to profesjonalnie. I w pracowni któregoś wieczora zaczął cichutko nucić, aby po chwili mocnym głosem zaśpiewać. I zrobił to wspaniale...

I właśnie takiego Walerego zapamiętam na zawsze.

Kolejne profesje i fascynacje Walerego można wymieniać długo. Ja tylko wspominam o tych, których sam doświadczyłem.

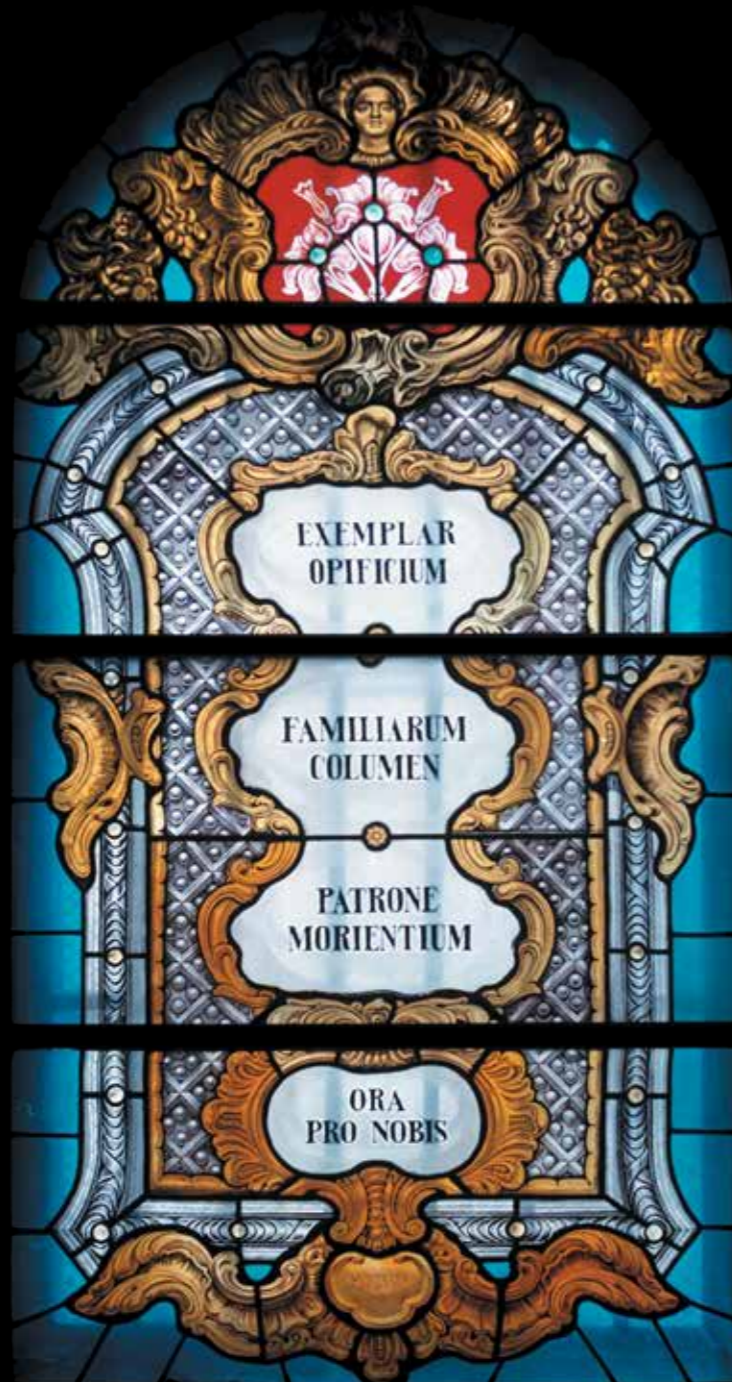
To było prawdziwe spotkanie z żywym człowiekiem.

Krzysztof Sawicki



Kościół św. Antoniego. Lwów, 2002 - pastel olejny, papier (96 x 96 cm)

Witraże Kościoła
Św. Antoniego
we Lwowie. 1982r
Projekt i wykonanie
Walery Bortiakow,
fot. Aleksy Iutin.



WALERY BORTIAKOW

Każdy z nas, bez względu na wiek, ma wokół siebie wielu znajomych. Niektórzy znikają z czasem z listy. Niektórzy zostają z nami, przy nas na długie lata. Walery zjawiał się tak zwyczajnie – kolejny wdzięczny widz przyszedł za kulisy. Tylko że Walery przyszedł i został. Wspominając tamto pierwsze jego wejście do naszej stynnej 15-ki, naszej garderoby, rozumiem, że to było tak naturalne... Inni przychodzili, czuliśmy się skrępowani, czuliśmy się zobowiązani do podtrzymywania rozmowy, uśmiechania się, dziękowania za miłe słowa, kwiaty, bombonierki. A Walery po prostu przyszedł. Tak, jakby wyszedł przed chwilą i właśnie wrócił. Nasz zespół był zawsze wielojęzyczny i pewnie dlatego rosyjski język Walerego nikogo nie raził, nikomu nie przeszkadzał. Bardzo szybko rozmowy były prowadzone w dwóch językach. Plastyk, scenograf... Okazał się człowiekiem, dla którego ważne było to wszystko, czym i my żyliśmy – tworzeniem sztuki scenicznej na naszej małej scenie przy ulicy Kopernika 42.

A potem... A potem ofiarował nam cały swój talent. Pamiętam jego pierwszą rolę aktorską. Komedia A. Fredry „Mąż i żona”. Lokal i krótka replika, ale jakże trudna jak dla Rosjanina: „Konie zaprzężone”. Ten, słusznej postury młody mężczyzna, zżerany tremą, ćwiczył bez przerwy, drepzcząc po tym ciasnym pokoiku z rekwizytem (taca z kielichami). Taki był początek aktorskiej sławy Walerego. Ale jego talent i jako scenografa, kostiumologa, ale i jako reżysera zabłysnął nawet nie podczas pracy nad komedią A. Fredry „Zemsta”, a dużo później. Marzeniem Walerego była „Odprawa posłów greckich” J. Kochanowskiego. Pamiętam, jak ten plastyk pracował z makietami. Poruszał elementami scenografii i uczył nas, jak to ma wy-

glądać. Inaczej pracowało się ze Z. Chrzanowskim – wspaniałym reżyserem, który swoją wizję reżyserską, jak ogromną tajemnicę, odkrywał nam scena po scenie – a inaczej z Walerym, któremu łatwiej było wytłumaczyć swoją reżyserską wizję przedstawienia poprzez makietę i stroje.

Lata mijały i Walery stał się przyjacielem naszej rodziny. Z ogromną przyjemnością, wręcz radością przyjmował zaproszenia na różne rodzinne uroczystości. Wieczór wigilijny, dzielenie się opłatkiem odbierał z taką czcią, że wywoływał w nas wielki szacunek do siebie. Przyszły na świat nasze córki. Jak to dzieci teatralne szalały za kulisami, ale zawsze widziały w Walerym swego kompana. Pierwsze prace plastyczne młodszej córki Walery zrecenzował niezwykle przychylnie.

Potem zaczął się kolejny etap objawień jeszcze jednego talentu Walerego – witraże. Zaprosił do współpracy mego męża Anatola. Dla mnie to było odkrycie. Witraże się oglądało, ale wcześniej nie miałam pojęcia, jak one powstają, według tradycyjnej technologii. Wypalanie, nakładanie kolejnej warstwy koloru i znów wypalanie. Mąż, z zawodu jubiler, po prostu żył w pracowni. Czerpał tyle zadowolenia ze współpracy z Walerym, do dzisiaj pamiętam błysk w jego w oczach. I jeżeli prace Walerego jako scenografa, kostiumologa mogą zniknąć w przestrzeni czasowej, to witraże są trwałym dziełem. To witraże i obrazy, które wyszły spod ołówka Walerego i, umieszczone w kościołach lwowskich, mościskich czy odeskich, są pomnikami wspaniałego człowieka, wiernego przyjaciela, Rosjanina, który sercem przylgnął do nas, aktorów-amatorów małej sceny Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie.



Witraże Kościoła Św. Antoniego we Lwowie. 1982 Projekt i wykonanie Walery Bortiakow, fot. Aleksy Lutin.

Gdy mówimy o Walerym jako o człowieku sztuki, to zawsze słyszymy wypowiedzi pełne wspaniałych opinii. A jaki był Walery w życiu codziennym? To był całkiem inny człowiek. Wszystko gubił. Dosłownie wszystko: szkice, portmonetki, parasole, dokumenty, torby, swetry, kurtki. Dzielił się wszystkim, co miał, przysłowiową „ostatnią koszulę” oddawał potrzebującemu. Wspaniały artysta, mistrz ołówka, nożyczek i kleju, umiejący zwykły materiał zamienić na wspaniałą kreację sceniczną, był absolutnie bezradny

wobec trudności życia codziennego. Wynikało z tego wiele zabawnych sytuacji, które dziś wszyscy wspominamy ciepło i życzliwie – bo przecież nie sposób Walerego wspominać inaczej.

Wspomnień przychodzi bardzo dużo. I to jest ważne – Walery był człowiekiem, który będąc bardzo skromnym, pozostał pięknym wspomnieniem w życiu tych, którzy mieli szczęście z nim obcować.

WALERY - PRZYJACIEL I NAUCZYCIEL

Już trzynaście lat nie ma Go z nami, a wspomnienia wciąż są jasne i czyste. Był to człowiek i artysta, o jakich mówi się, że „dziś już takich nie robią”. Kochał ludzi, zwierzęta i kwiaty. Nie miało dla Niego znaczenia skąd pochodzą i jaki mają kolor skóry. W każdym widział coś dobrego i do każdego trafiał. Był artystą pełnym, z niczego potrafił zrobić dzieło sztuki, nie zależnie od tego, czy to był papier, styropian, drut, gąbka czy puszka po piwie.

Natura obdarzyła Go wielkim talentem artystycznym. Pięknie malował, cały czas eksperymentował, wciąż poszukiwał materiałów i wyrazu swoich dzieł. Jego obrazy były pełne powietrza i przestrzeni, żyły i przemawiały.

Był wspaniałym aktorem, zarówno dramatycznym, jak i komicznym. Jego postaci sceniczne były prawdziwe, tak samo, jak On. Miał niesamowitą pamięć.

Reżyserował i tworzył oprawę artystyczną spektakli. Jego reżyseria, scenografia i kostiumy współgrały i tworzyły jedność. Zawsze były mocno przemyślane, zarówno pod względem wyrazu scenicznego, jak i konstrukcyjnego. Miały być łatwe do przewiezienia i zmontowania w szybkim czasie. Tworzył scenografię z tego, co inni by już dawno wyrzucili. Skrawki tkanin, firanki, karton i pianka w jego rękach przestaczały się w greckie popiersia, renesansowe chorągwie i drzwi, barokowe kamienie, secesyjne mebelki i portale. Był „szalonym” detalistą, opracowywał dekoracje i stroje do najdrobniejszych szczegółów.

Miał niesamowicie wielką wiedzę w dziedzinie dzieł sztuki, stylów i artystów, którzy je tworzyli. Potrafił rozmawiać i dyskutować na każdy temat związany ze sztuką i filozofią.

Kilku rzeczy nie potrafił – nie potrafił odróżnić fałszu od prawdy, dlatego niejednokrotnie był wykorzystany przez ludzi, którzy posilkowali się Jego dobrocią i naiwnością. Wiedział o tym, ale zawsze im odpuszczał. Nie potrafił zapanować nad światem materialnym. Często gubił lub pozostawiał gdzieś rzeczy, a nawet swoje dzieła. Pieniądze traktował jak coś, co się mu jutro nie przyda.

Był wielkim altruistą i kosmopolitą, z piękną i czystą duszą.

Pięknie śpiewał, znał wiele tekstów pieśni ludowych i folkloru miejskiego. Potrafił uchwycić melodykę i charakter utworu. Śpiewał w kilku językach i wtedy zdawało się, że wszystkie te języki zna. Niejednokrotnie tworzył poezję w kilku językach naraz, bo tak z Niego, jak sam mówił: „wypęzło”.

Było z nim jednocześnie lekko, ale i niezwykle ciężko. Potrafił, aż do zatracenia się, toczyć spór i kłócić się o jakiś detal, ale zawsze chodziło o prawdę. Wiele się od niego nauczyłam i teraz, kiedy przychodzi się coś robić w teatrze lub środowisku artystycznym, sama się siebie pytam: a jak by to zrobił Walery?

Dodawał blasku i kolorytu naszej szarej rzeczywistości i świecił jasno na lwowskim firmamencie. Brakuje mi Jego światła.

Jadwiga Pechaty.



Kościół Dominikański. Lwów, 2002 - pastel olejny, papier (96 x 96 cm)

JAK WALERY BUDOWAŁ SZOPKĘ?

To było w 2004 roku. Walery przemieszkiwał u mnie w pracowni. Rozstawił sztalugi i szkicował. Ósmego maja bawiliśmy się razem na „wieczorze byków” w „aquarium”. Nawet Walery na tę okoliczność napisał wierszyk o skurczybykach. Późną jesienią, jak zwykle bez zapowiedzi, pojawił się znowu. Tym razem miał do spełnienia misję. Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia i przyjął zlecenie na zrobienie szopki w kościele **pw. św. Stanisława Biskupa** na Lipowicy. Zaczął od tego, że znalazł u mnie pod oknem odpowiednie światło i zabrał się za projektowanie makiety. Wcześniej projektował już scenografię dla opery w Kijowie i scenografie do wielu spektakli granych przez Polski Teatr we Lwowie, prowadzony przez Zbigniewa Chrzanoskiego, więc znał się na tej robocie. – W szopce tak jak na scenie trzeba zagospodarować przestrzeń. Tak żeby ktoś, kto będzie na to patrzył zrozumiał i odebrał sens przedstawianej scenę – godzinami tłumaczył mi tajniki scenografii. Potrafił kilkoma cięciami nożyczek wyczarować, z kartonu sylwetki postaci, które miały wystąpić w szopce. Potem ustawiał je na makiecie zaimprovizowanej z tekturowego pudełka. – Pan Jezus w żółtku, obok będą Józef i Maria. Tylko potrzebny jest jakiś symbol związany z Przemyślem – głośno zastanawiał się Walery. – W herbie miasta jest niedźwiedź, więc może zamiast owiec wstawić do szopki niedźwiedzia. Tylko, co on by tam robił? Walery traktował szopkę jak scenę w teatrze i wszystko w niej musiało mieć uzasadnienie. Żadnego przypadku. Wreszcie wymyślił. – Niedźwiedź będzie chuchał na nóżki dzieciątka. Będzie chuchał żeby ogrzać. Wśród wyciętych kilkucentymetrowych postaci na makiecie pojawił się niedźwiedź podobny do tego z fontanny w rynku. Kilka dni później, kiedy makieta była już dopracowana Walery przeniósł się na Lipowicę, gdzie

ksiądz proboszcz udostępnił mu pomieszczenie na pracownię. Mistrz postawił makietę na taborecie i po swojemu objaśniał koncepcję projektu. Ksiądz widocznie do tej pory nie miał do czynienia z artystami i nie był obdarzony wyobraźnią plastyczną, ale cierpliwie słuchał. Dopiero, kiedy Walery powiedział, że niedźwiedź będzie chuchał na Jezuska księdzu zrzędną miną, ale już było za późno żeby rezygnować z usług artysty. Kilka następnych dni Walery poświęcił na wyszukiwanie i zwożenie potrzebnych materiałów. Bele kolorowego materiału na szaty, styropian, gąbka, zwoje drutu na szkielety postaci, kleje, farby. Walery był w swoim żywiole. Kiedy ksiądz zapraszał go na obiad Walery odpowiadał, że za chwilę przyjdzie, tylko musi coś jeszcze zrobić i tak mijało parę godzin nim przypominał sobie o posiłku. Walery prosił znajomych żeby posłużyli mu, jako modele i godzinami drapował na nich szaty, które miała okrywać świętą rodzinę. Druciany szkielet niedźwiedzia obleczony pluszem coraz bardziej przypominał herb Przemyśla. Do świąt było coraz bliżej. Ksiądz teraz częściej zaglądał do pracowni, żeby sprawdzić postępy pracy i widząc artystyczny nieład coraz bardziej wątpił czy Walery zdąży. Czas uciekał, atmosfera robiła się bardziej nerwowa i po kolejnej wizytacji księdza zmęczony i trochę rozkojarzony Walery bezwiednie usiadł na taborecie, na którym leżała makieta szopki. Kto go znał ten wie, że miał na czym siedzieć i z niedźwiedzia oraz świętej rodziny został tylko sprasowany karton. Nie zapomnę jego miny, kiedy zobaczył unicestwiony projekt, a dookoła pełno rozgrzebanej pracy. Walery często powtarzał – jak sprawa czysta, cud się stanie. Tak też było. Szopka jednak stanęła w kościele, a niedźwiedź chuchał na stopy dzieciątka żeby je ogrzać.

Jacek Szwic



Lwów, 2002 - akwarela, papier (70 x 100 cm)



projekty kostiumów, technika własna, papier

*nie wiem co się teraz na świecie porobiło
Zaczynają umierać ludzie, którzy nigdy dawniej nie umierali”*

Julian Tuwim

Ostatnia rola Walerego

14 maja 2007r. we Lwowie zmarł nagle Walery Bortiakow. Długoletni reżyser, aktor i scenograf Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Człowiek wielce zasłużony dla polskiej kultury Lwowa, przyjaciel Polaków i sztuki polskiej. Artysta wszechstronnie uzdolniony, który całym swym sercem ukochał Lwów.

Czwartek. 17 maja. Teatr Polski we Lwowie. W półmroku przed sceną, otwarta trumna wkomponowana w dekoracje z Zemsty, obok kostium Cześnika, w którym Walery tyle razy występował. To Jego ostatnia rola.



Rysunek piórkem ze szkicownika, rok powstania pracy nieznanym

“Mój drogi, niepokorny przyjacielu. Na tej scenie nie jeden raz umierałeś jako rosyjski major w dramacie Fantazy Słowackiego. Umierałeś i czyniłeś to wspaniale aktorsko, a teraz zrobiłeś nam taki teatralny kawał, że umarłeś naprawdę. Tyle razy na tej scenie budowałeś tą swoją scenografię, która i dzisiaj zaistniała, żeby Cię po raz ostatni otoczyć w tej teatralnej przestrzeni” – łamiącym się głosem żegna zmarłego Zbigniew Chrzanowski.

Na widowni konsul generalny we Lwowie Wiesław Osuchowski, jego poprzednik Krzysztof Sawicki i niezliczone rzesze przyjaciół z Polski i Ukrainy, bo Walery żył tak, że zjednywał sobie ludzi. Humorem, bezinteresownością, szczerym sercem lwowskiego batiara i sztuką, która była dla Niego całym życiem. Był, co rzadko się dzisiaj zdarza, artystą w pełni renesansowym. Oprócz scenografii i aktorstwa tworzył witraże, uprawiał malarstwo, rysunek, prowadził plenery, wychowywał i zawsze miał czas dla innych. Pozostaną po Nim liczne prace w kościołach w Polsce i na Ukrainie, w muzeach, galeriach, zbiorach prywatnych oraz pamięć, na którą sobie w pełni zasłużył.

Jacek Szwic



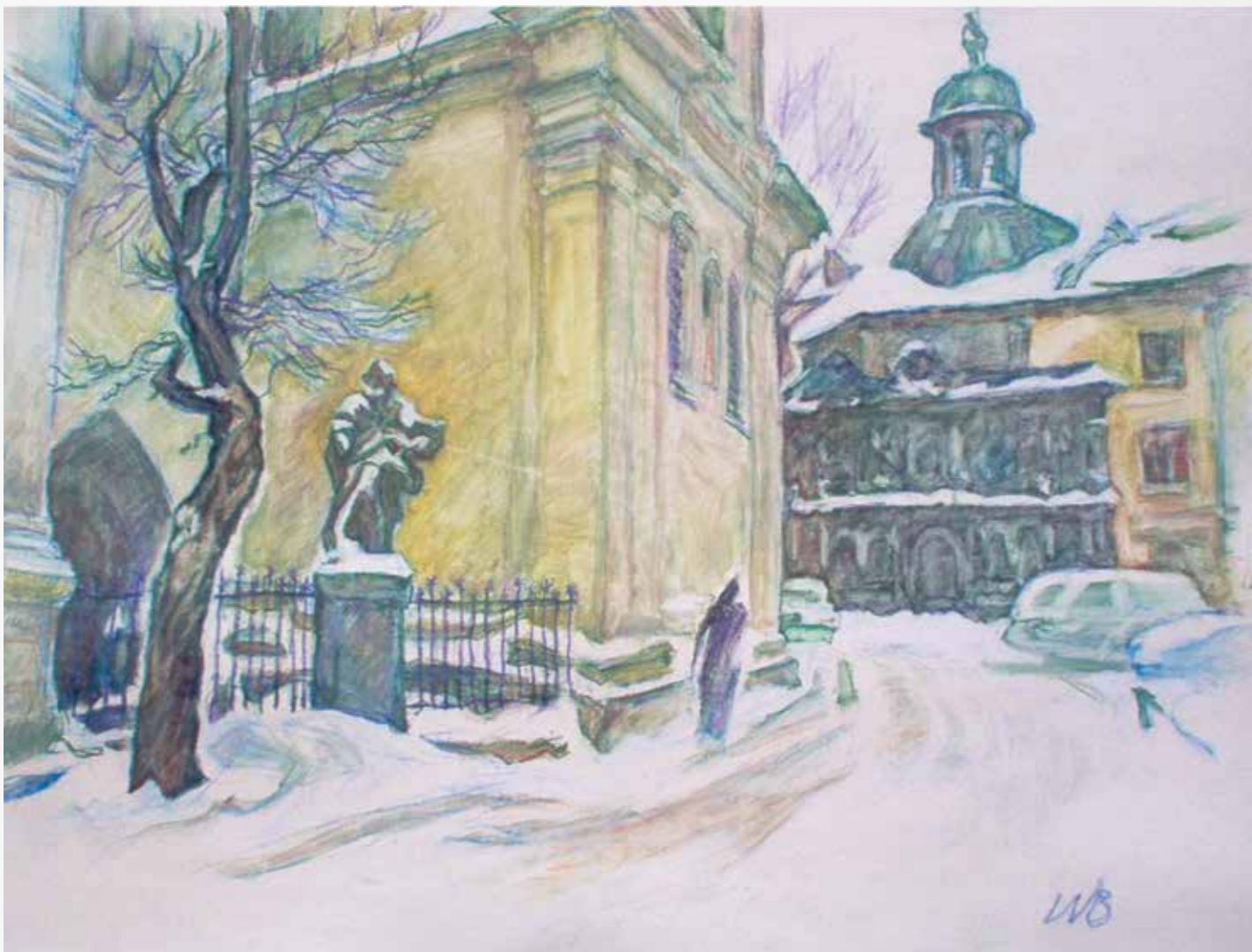
Jacek Szwic, Portret Walerego Bortiakowa - Noc Byków - 2006



Projekt ołtarza, rok i format nieznan - akwarela, gwasz, sepia papier tonowany



Golgota, rok i format nieznan - tusz, gwasz, sepia papier milimetrowy



Kaplica Boimów. Zima. Lwów, rok nieznany - pastel olejny, papier (80 x 60cm)

Nie ma we Lwowie teatru z którym Walery Bortiakow nie byłby związany. Pracował dla Teatru Młodocianego Widza, dla Teatru Marii Zańkowieckiej, dla teatru Podkarpackiego Okręgu Wojskowego, dla Opery Lwowskiej i dla telewizji. Domem dla niego był Polski Teatr Ludowy przy ulicy Kopernika 42. Stary osiemnastowieczny dom, w latach dwudziestych przebudowany w stylu klasycystycznym przez Fryderyka Baumana, dla Walerego był siedzibą, był trwałą dekoracją w tle której tworzył, grał i reżyserował, pił herbatę, rozmawiał, pracował, umawiał się na spotkania, żył i o późnych godzinach wieczornych, kończąc pełen wydarzeń dzień, niespieszno schodził w dół skrzypiącymi drewnianymi schodami, gasił światła i zamykał swój Dom. Sprawdzał jeszcze czy jest afisz teatralny przy . Unosił głowę by zobaczyć niebo i znikał w ciemnościach lwowskiej nocy. Tu, w zakamarkach pałacu hrabiów Bielskich, wyczarowywał makiety, dekoracje. Na starym pałacowym tarasie (co bardziej wyglądał na obszarpany balkon garsoniery) postawny Walery z epicką brodą, cały wyłaczany światłem lwowskiego słońca, zszywał długie płaty tkanin, które jak chorągwie topotały na wietrze i kaskadą spływały z balkonu. Kręcił kółko starej maszyny Singer, tworzył wodospad białej tkaniny i koronkowych firanek. Potem te długie połacie materii ożyły w "Odprawie Posłów Greckich". Animowana przez sześć aktorek tkanina była raz murem Troi, raz lotną łodzią Achajów. W jego dłoniach ręczniki frotte zamieniały się w arrasy zaś ziarna fasoli w perły. Tektura, tkanina, sklejka - przeistaczały się w renesansowy portal.

Do każdej sceny powstawały plastyczne ujęcia, swoista "wizualizacja" dramaturgii spektaklu. Za pomocą animacji szkiców i objaśnień Walerego, zebrani aktorzy - jeszcze przed rozpoczęciem prób - mieli możliwość "pooglądać" całość zamysłu reżysera i scenografa.

Nie było dla niego prac mniej czy bardziej ważnych. Nie istniały tak zwane "fuchy", wszystko było istotne. Chałtura według niego, to brak szacunku do siebie. Był profesjonalistą w każdym calu. Jego ogromnej, bujnej wyobraźni, zmysłu przestrzennego, wirtuozerii warsztatowej, encyklopedycznej wiedzy - tworzył z lekkością. Eksplozji pomysłów nadawał kształt materialny i zostawiał trochę swojego serca, aby obraz miał duszę.

Wielkie bogactwo ducha i ogromne serce nie przywidywało ograniczeń. Nie skąpił nam ani swego dowcipu, ani swojego śpiewu. Miał wspaniały głos i zawsze był w śpiewie autentyczny, czy śpiewał huculskie przyspiewki i kołomyjki, czy gruzińskie, czy greckie, czy polskie, czy rosyjskie, czy repertuar lwowski "batiarski". Śpiewał tak jakby w pieśni przeżywał życie, czy to lwowskiego włóczęgi, czy hucuła, czy gruzińskiego kinto.

O sobie mówił żartobliwie , że jest "ofiara polonizacji", lecz... „ofiara dobrowolną”. I jeszcze śliczne porzekadło uknute przez Walerego: " Ja i mój maleńki naród" (czyli naród rosyjski). Był wspaniałym obserwatorem, błyskotliwie żartował, czym często udawało mu się rozładować atmosferę, otrząsnąć ze zmęczenia kolegów, zainspirować do pracy twórczej.

Umiął patrzeć i umiał widzieć. Godzinami mógł opowiadać o pięknie budowli architektonicznych. Tam, gdzie inny widział barokową fasadę kościoła, owszem okazałą, intrygującą, Walery w połączeniu strzelistych kolumn i pilastrów



Lwowska Kolęda. Lwów, 2004 - pastel olejny, papier (96 x 96 cm)

dopatrywał się bukietu kwiatów, i tak to piękno objaśniał i malował. Był wrażliwy na metafory zawarte w architekturze sakralnej i w okamgnieniu wyczytywał skomplikowaną symbolikę. Z lekkością posługiwał się geometrią wykreślną. Zwykłe słupy telegraficzne swoim istnieniem nadawały skalę i głębię obrazom, zamieniały się w scenografię. Pajęczyna drutów rozpiętych na niebie współgrała rytmicznie z cieniem na posadzce. Poszukiwał rymu, jego rysunki architektoniczne to wiersze. Wieże rymują się z pędzącymi niebem chmurami, gałęzie drzew wyciągają ku sobie ramiona, tworząc sklepienia gotyckich katedr. Jako portrecista miał niebywałą intuicję i wycucie stylu ekspresji plastyki przedstawianej osoby. Objaśniając urodę konkretnej twarzy dla żartu kreślił portret a to "gotycki", "barokowy", „renesansowy” czy „romański”. Po czym – bez specjalnego wysiłku – szkicował konterfekt secesyjny. Każde przedstawienie było uzupełnione odpowiednim akcesoriumem. Kreskę, jej charakter, kolor, dobierał do osoby portretowanej.

Potrafił zachwycać twórczością i sukcesami innych. Godzinami opowiadał o twórczości Caspara Davida Fridricha o filmowej, operatorskiej wizji światła i odważnym, oryginalnym, zupełnie osobnym kadrowaniu kompozycji w malarstwie tego artysty. Nazywał go XIX-wiecznym filmowcem. Mogę tylko żałować, że nie przyszło mi do głowy tego nagrać. Równie ciekawie mówił o ucieczce od fałszywego patosu w malarstwie Williama Turnera. Z ogromną atencją i zachwytem analizował pastele i witraże Stanisława Wyspiańskiego. Nigdy nie było w tym banału, czy powtarzania standartowych, utartych opinii. Zazwyczaj Walery brał album z reprodukcjami i – ot tak od siebie – robił wspaniały wykład z teorii, historii sztuki, bez zadęcia, trochę od niechcienia. Teraz już wiem, że należało notować te opowieści.



Wydawca
Centrum Kulturalne w Przemyślu

Redakcja
Janusz Czarski

Materiały katalogowe
Zbigniew Chrzanowski
Jarek Sosnowski
Aleksander Owerczuk
Jacek Szwic
Urszula i Mariusz Olbromscy

Teksty
Janusz Czarski
Zbigniew Chrzanowski
Mariusz Olbromski
Krzysztof Sawicki
Jadwiga Pechaty
Luba Lewak
Jacek Szwic
Helena Jacyno

ISBN
978-83-952658-5-3



*Aktorzy podczas próby - Odprawy posłów greckich Jana Kochanowskiego premiera 30 VI 2000r
Zamość dziedziniec zamkowy, fot. Aleksy lutin*

